

JADWIGA MIGOWA.

# PANTERKA

(Powieść współczesna).

Dzieci przestraszone nie przestawały płakać. Matka nie próbowała ich nawet uspokajać. Ten płacz podniecał ją jeszcze w zaciętym, rozpaczonym uporze:

— Nie dam!... nie dam!... ja żona!... ja matka!...

Zbudziły się i sługi. Pokojówka Marcelka, imperiynencka blondynka z zadartym nosem zjawiała się na progu sypialni:

— Stało się tu co? czy co? Bo takie krzyki, że spać nie można!...

Małe jej oczka mrugały szydersko i śmiały się złośliwym zadowoleniem.

Bąblowa nawpół przytomna zwróciła ku niej głowę. Aroganckie słowa służącej przeszły obok jej myśli. Nie słyszała ich.

— Marcelko, zostań tu przy dzieciach!... Popilnuj ich!... ja wychodzę!... muszę wyjść!...

— Co? teraz, po nocy?... wiatru w polu szukać?... Policjanci panią „zahaliuje”!

— Muszę...

— Ano, jak pani musi... — zarechotała zjadliwym śmiechem — cicho bębnij!... nie drzeć się, bo dziada zawołam, to was do torby zabierze!...

Bąblowa zarzuciła na głowę szal, płaszcz na ramiona i wybiegła z mieszkania. Sірóż, który jej otwierał bramę, przeżegnał się, jak na widok upiора.

— Stara zwaryowała!... — oznajmił potem swej połowicy — poleciała w miasto, jakby ją co opętało! Pewnikiem jego gonić!... jeszcze ją zahaliują!...

— Wszystkie chłopcy podłeli!... — zakonkludowała sірóżowa.

Bąblowa, skoro znalazła się na ulicy i owiał ją mroźny wiatr, oprzytomniała. Uświadomiła sobie, że nie ma pojęcia, w którą skierować się stronę, gdzie szukać męża i jego towarzyszek? Rozglądała się na prawo i na lewo — bezradna. Jakis przechodzień dotknął jej ramienia:

— Cóż? panienska sama?... To nie dobrze... może...

Spojrzała na niego zaszawionymi oczyma. Zrozumiał od razu pomyłkę i cofnął się.

Dokąd iść?... gdzie oni?... Zbierała forsonie myśli, usiłując coś wykombinować. Przypominała sobie nazwy restauracji, do których mąż zwykł był uczęszczać. Ale teraz już blisko dwunasta, lokale pozamykane... Zaczynała coraz bardziej powątpiewać w skuteczność swych poszukiwań i gotowa była już nawet wrócić do domu, gdy nagle postyszała:

— Dobry wieczór!...

Był to Sternnagel, którego Bąblowa знаła, bo kilkakrotnie zachodził do jej męża. Teraz malarz zirygowany do najwyższego stopnia, porzucił towarzysztwo Stefki, Bąbla i Olczaka, klął „panterkę”, która sobie zadzwiała z niego.

— Proszę pana! czy pan nie wie, gdzie mój mąż jest?...

Sternnagel zachichotał wewnętrznie. Los mu nasuwa sam świetny sposób odwetu. Trzeba im zrobić ten „kawał”.

— Owszem, wiem...

— Gdzie?!

Sternnagel wymienił nazwę hotelowej restauracji i ofiarował się rycersko:

— Ja panią podprowadzę...

— Dziękuję panu... jaki pan dobry!... a ja myślałam, że ci wszyscy, co się z moim mężem włóczą, to same łajdaki!...

Malarz spojrzał uważniej w ściągniętą cierpieniem twarz kobiety. Żał mu się jej zrobiło.

— Proszę pani, może pani jednak wróci teraz do domu, a później dopiero rozmówi się z mężem?

— Nie! nie! ja go muszę znaleźć!... Pan wie, on tam jest z jakąś... jakąś... Uderzył mnie przez nią... O dzieciach zapomina... wszystko dla takiej!...

Żałowała krótko, żałośnie.

— Niechże się pani uspokoi. Niech pani nie płacze...

— Panie, pan ją zna?

Zawahał się przez chwilę z odpowiedzią.

— Znam.

— A ona ładna?... bardzo ładna?... — pytała gorączkowo.

— Tak sobie... dosyć...

— Choćby i najpiękniejsza była, to przecież ja jego żona!... Osiem lat przeżyłam z nim!... Biednie bywało, ale szczęśliwie, spokojnie!... Z tym wielkim majątkiem przyszło na nas to nieszczęście!... A dzieci, panie, dzieci!... Chodźmy!... chodźmy!... niech ja tej kerykaturze do ślepiów zajrzę!...

Sternnagel był zmieszany. Pierwszym odruchem jego była chęć splatania złośliwego figla tamtym obojgu, ale teraz czuł, że zanosi się na prawdziwy dramat.

— Niech pani posłucha mojej rady. To nie będzie dobrze, jeżeli pani teraz urządzi tam scenę... Lepiej jutro w spokoju pogadać sobie z mężem...

— Nie chcę czekać!... nie mogę!... — upierała się rozpaczliwie kobieta — mnieby serce pękło do rana!...

— Ha!... jeśli pani koniecznie chce — to chodźmy!...

— No! no! tym razem to jeszcze daruję, ale żeby mi się to nie powtórzyło, bo się naprawdę pogniwam.

— Stefuś... Stefuś śliczny... — Babel przylgnął zapalonemi wargami do obnażonego ramienia Stefki.

— Nie można... nie można... pan Olczak się pałrzy... — drożyła się kusząco, chcąc niby usunąć rękę.

— Także miałbym się na co pałrzyć!... — wzruszył ramiona Olczak, który syczył tymczasem jeden kieliszek likieru za drugim — bądźcie jak u siebie w domu... Ostatecznie mogę zniknąć!...

— Redaktorze! tyś mój prawdziwy przyjaciel!...

— Co to u diabła za hałas!... — zdziwił się Olczak — kelner robi jakąś awanturę, czy co?!

Niema teraz porządku wyfresowanej służby.

Istotnie z za drzwi dochodziły odgłosy jakiegoś szamotania, płacz kobiety i krzyk kelnera:

— Co to znaczy?!... Wynoś się pani!... Tutaj nie można!...

— Ja muszę... ja muszę...

Drzwi szarpnięte gwałtownie otworzyły się. W jarzący blask światła elektrycznych, w atmosferę przesyconą perfumami Stefki, zapachem jej włosów i ciała i wonią alkoholu, wdarła się kobieta w czarnym płaszczu, zaśnieżona, z rozrzuconymi, zmoczonymi włosami, z których spadł szal.

Babel zerwał się jak oparzony, Stefka wydała pisk przerażenia.

— Co, ty tutaj?!... Chodź stąd!... chodź natychmiast!... — Babel podbiegł do żony i chwycił ją za rękę, usiłując wyprowadzić. Wyrwała mu się.

— Ja mam iść!... ja, twoja żona?! żebyś ty z tą łajdaczką!... z tą flondrą!... i z tym szubrawcem... — szloch zdławił jej głos w gardle, ale pięścią groźnie zaciśniętą potrząsała.

Olczak, widząc na co się zanosi, drapnął od razu. Stefka chciała zrobić to samo, ale Franka zagroziła jej drogę.

— Od mojego męża ci wara! ty lakudro!... włóko!... złodziejko! bo ci te kudły pokręcone powyrywam!... bo ci!...

Stefka rzuciła się wstecz przed tamtą rozjuszoną, rozwściekloną... gotową do ostateczności bronić swoich praw... Wybuchnęła spazmatycznym płaczem.

— Czego ta wariatka chce odemnie!... — zaniósła się histerycznym płaczem — O! ja nieszczęśliwa!... do tegoś mnie pan doprowadził, żeby mnie tak kto sponiewierał!... ja pani męża znać nie chcę!... Niech idzie do wszystkich dyabłów!... ja tego nie przeżyję!... nie przeżyję!...

Chwyciła kapelusz, żakiet i wybiegła.

— Stefciu!... Panno Stefaniu!... — krzyknął rozpaczliwie Babel.

Byłby pogonił za nią, gdyby nie kelner, który wszedł w tej chwili z miną wielce surową.

— Proszę pana, takie krzyki, awantury, to niedozwolone!... To nie szynk na Krowodrzy, nie karczma żydowska, ale porządny lokal dla eleganckich gości!... To naszą firmę kompromituje!... Pan zechce wyrównać rachunek!...

— Rachunek... a tak rachunek... — wybąknął Babel, który w tej chwili czuł się niesłychanie zawstydzony i nieszczęśliwy — a ile się należy?...

Kelner wymienił sumę trzykrotnie wyższą, kombinując, że wzburzony, zdenerwowany gość, który zrobił taki skandal w lokalu — rachunku z pewnością kontrolować nie będzie.

Nie omylił się, bo Babel zapłacił bez wahania, ile od niego żądano.

— Proszę pana — zamykamy...

— Antoś! chodź do domu!... — jęknęła Franka, która przytulona do ściany, stała teraz drżąc i pełna przerażenia. Ominął ją już szal gniewu, a ogarnął przesrzech z powodu tego, co zrobiła.

— Antoś! chodźmy do domu... do dzieci!...

Spojrzał na nią — twardo, wrogo, nieubłaganie.

— Między nami wszystko skończone — rozumiesz?

— Antoś!...

— Skończone! powiedziałem!...

## ROZDZIAŁ X.

— Pani w domu?

— W domu... A co sobie pani życzy?... — szykowna służąca w białym fartusku i motylku we włosach krytycznie obejrzała od głowy do stóp starą Łączkową.

— Chcę się widzieć z panną Łączkową!...

— Ale czego sobie pani życzy? Może pani tą praczką, co ją mieli przysłać z biura?!

— Ja nie żadna praczka!... ja jestem matka! panna mnie tu nie wstrzymuj!...

Łączkowa zamasyściła usunęła sobie z drogi dziewczynę i skierowała się ku drzwiom, w których teraz stała Stefka w jedwabnym szlafrocisku koloru lososiowego, przybranym kremowymi koronkami.

— No, ależ to do ciebie trudno się dostać! Podanie na stolem robić, czy jak?...

— Niechże mama tak głośno nie mówi!... Niechże mama wejdzie!... Zosiu podaj herbatę i ciastka!...

Pokój, do którego Stefka wprowadziła matkę był obity tapetą bardzo w delikatne złote pasy tego samego koloru meble wyścielone miękkie, kryte brokatem rozstawione na posadzce zasłanej perskimi dywanami. Na ścianach obrazy przeróżnej wartości: od zwykłych oleodruków, do dzieł prawdziwej sztuki, włoskie Madonny obok futurystycznych rebusów, pejzaż zimowy Fałata razem z „landszaftem” z jeleniem, strumieniem i ruinami zamku na wzgórzu... wszystko ujęte w bogate kosztowne ramy — przeważnie niestosowne.

Łączkowa, która tu przyszła właściwie po to, aby córce „rozrząsać sumienie” straciła jakoś rezon.

— Ładnie tu u ciebie... — bąknęła.

— A tak... niezły salon... Choć mógłby być lepszy... jeszcze ja to wszystko inaczej urządzę... Niechże mama siada!...

Łączkowa z widoczną ostrożnością siadła na miękkiej kozetce, jakby się bała, że się ten delikatny mebel pod ciężarem jej rozłożystej postaci zawali.

— I fortepian jest? — wskazała na pianino zamknięte i nieokurzone, bo proch spoczął na nim dość grubą warstwą.

— A jakże?

— Przecież ty grać nie umiesz?

— To cóż z tego? Ale to do szynku należy!...

— Hm... — chrząknęła Łączkowa. Oszołomiona była i nie wiedziała co ma właściwie mówić. Po chwili przypomniała sobie wszakże po co przyszła.

— Stefka!... To jest Sodoma i Gomora! — wykrzyknęła, uderzając nogą obutą w rozkładany trzewik o dywan — Sodoma i Gomora!...

— Nie! to jest perski dywan!...

— Ty sobie nie kpij!... To jest przecież ciężki grzech i wstyd!... On się przecież z tobą nie ożeni!...

— A dlaczego nie? — zapytała spokojnie Stefka, przeciągając się rozkosznie w bujającym fotelu.

— Rznął ją przecież!... rozwiedzie się i konieci!...

— Dajże ty spokój, dziewczyno! gdzie tam taki rozwód od świętego Sakramentu małżeńskiego!...

— Co się mama na tem zna!... Teraz inaczej niż dawniej!... Jak kto ma pieniądze, to dziesięć rozwodów dostanie, nie jeden!... Napisze do papieża i po koncercie!...

— A jeżeli tak... Choć zawsze to żonę ma, dzieci!... Ale, że ładnie u ciebie — to ładnie!... Słuchajno, czy on bardzo bogaty?

— Naturalnie, że bogaty! Przecieżbym się inaczej na niego nie popatrzyła!... Taki Babel!... — wymówiła to nazwisko z wyraźną pogardą.

(Ciąg dalszy nastąpi).